

SPIS TREŚCI

9	CZĘŚĆ PIERWSZA
113	CZĘŚĆ DRUGA
183	CZĘŚĆ TRZECIA
335	CZĘŚĆ CZWARTA
435	CZĘŚĆ PIĄTA
525	CZĘŚĆ SZÓSTA

*...Wielki był gorąc w pałacu Króla, gdy ucztowano
i tańczono, a wino lało się strumieniami. I każdy
tam wychwalał swojego własnego boga ze złota,
srebra, z miedzi, kamienia, drewna czy gliny,
i szydził jeden z drugiego albo i wszczywał kłótnie
o te bogi.*

*W tej to godzinie na bocznej ścianie pałacu
pojawily się ogniste palce ludzkiej ręki i zaczęły
pisać ogniem na kamiennym murze. Dłoń
nakreśliła z wolna litery, aż się rozjarzyły takie
oto słowa: Zostało ci policzone... Nikt inny
jednakże nie dostrzegł owego napisu, albowiem
wszyscy byli pijani od wina i gniewu i wciąż się
kłócili z powodu swych bogów ze złota, srebra,
z miedzi, kamienia, drewna czy gliny...**

* Parafraza Księgi Daniela, 5. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

CZĘŚĆ PIERWSZA

Był piękny początek września, ciepłe, bezchmurne popołudnie. Słońce olśniewało i zachwycało tak, że słowiki, odurzone promieniami, tu i tam podlatywały wysoko w roziskrzzone niebo, wytrwale uderzały małąkami skrzydłami, aby choć przez chwilę utrzymać się w górze, a potem spadały na łeb na szyję, nurkując niemal do samej ziemi, i znów zawracały ku słońcu, i tak raz za razem, nieprzerwanie. Zdawało się im chyba, że to nadal lato.

Ale też wszystko wokół wciąż jeszcze było zielone, nawet żółte pasma ściernisk zarosły zieloną włośnicą i wyglądały tak, jakby pociągnięto je warstwą zielonkawej emalii i poprzątkowano gęsto małymi, kołyszającymi się kłosami w kolorze rezedy, pomiędzy których gdzieś wystawały spóźnione karmazynowe maki.

W dolinie rzeki Maros zieleniły się także niewysokie wzgórza, ich zbocza z jednej strony łagodnie opadały aż do szerokiej drogi, z drugiej zaś, tam na prawo, dalej za łąkami, wyrzyszały się, a na tych wzniesieniach zielone były i drzewa owocowe, i lasy wieńczące szczyty. Nic jeszcze nie wskazywało, że nadchodzi jesień, może tylko te pomarańczowe krople owoców trzmieliny, które wychylały się z pękających torebek, by przyozdobić nieco przywidłe listowie, no i te czerwieniejące się już trochę kępy krwiściągów.

Pomiędzy bagnistymi łąkami i stokami wzgórz wila się droga, śnieżnobiała od pyłu, który przykrył purpurowy przenet i lebiędę w rowach, oblepił rozrośnięte szeroko łopuchy i którego pełno też było na liściach rogoży oraz w otulinach jej łodyg.

Choć to niedziela, w południe ruch aż kipiał na drodze. W kierunku Vászrhelyu¹ śpieszyło wiele powozów, a nawet jednokonne, rozklekotane chłopskie furmanki. W mieście był akurat wielki dzień, ogromne wydarzenie: wyścigi konne. To tam wszyscy gnali, wzbijając za sobą tumany kurzu.

Teraz jednak panowała tu cisza. Teraz po południu tym gościńcem prowadzącym z Marosvásrhelyu na wschód, przez Vácman, do Balavásáru, a za rozwidleniem w lewo – w kierunku Nyárádszeready, ciągnął tylko jeden powóz, trzykonny fiaker.

W sfatygowanym pojeździe dorożkarza z Vászrhelyu siedział wygodnie rozparty młody mężczyzna – Bálint Abády, szczupły kawaler średniego wzrostu. Ubrany był w długi podróżny płaszcz z surowego jedwabiu, ściśle

1 W języku węgierskim nazwy geograficzne podaje się często w formie skróconej do ostatniego członu. Vászrhely to Marosvásrhely, obecnie Târgu Mureș w Rumunii.

zapięty aż pod samą brodę. Kapelusz – filcowe nakrycie głowy z szerokim rondem, jakie wtedy, po wojnach burskich, weszło w modę – zdjął. W falistych ciemnoblond włosach młodzieńca igrały czerwone od słońca ogniki. Mimo dość jasnych włosów i oczu miał nieco wschodni typ urody. Lekko cofnięte, mocno sklepione czoło, szerokie kości policzkowe, kąciaki oczu skierowane ku górze.

Nadjeżdżał nie z wyścigów konnych, lecz ze stacji, a udawał się do posiadłości rodzinnej hrabiego Jenő Laczóka w Vársiklódzie, dokąd po zawodach miało zawitać więcej gości i gdzie na wieczór zaś zaplanowano bal.

Bálint przyjechał z Dénestornyi pociągiem o trzeciej. Pociągiem, choć matka oferowała mu jeden ze swoich zaprzęgów. On jednak wyczuł w jej głosie, że co prawda z dobroci serca proponuje mu powóz, niemniej cieszyłaby się, gdyby w tę podróż mimo wszystko nie wybrał się jej ukochanymi końmi, które ona sama wychowała w tej cieszącej się od dawna wielką sławą stadninie i które kochała tak, jakby i one wszystkie były jej własnymi dziećmi. Dobrze wiedział, jak bardzo się o nie obawiała i chroniła je przed zbędną fatygą, zimnem, obcymi stajniami, złośliwością innych koni. A ponieważ znakomicie rozpoznawał humory matki, oznajmił, że pojedzie raczej popołudniowym pociągiem, bo to byłoby za daleko – z Dénestornyi dalej nawet niż do Vársárhelyu, gdzie odbywały się wyścigi, aż do łąk nieopodal Szentgyörgy wyszłoby za jednym zamachem i z pięćdziesiąt kilometrów, później z powrotem do miasta, stamtąd zaś do Laczóków, a to znów z dziesięć, piętnaście kilometrów, trzeba by więc konie wyprząć, nakarmić po drodze w jakimś zajeździe – nie, nie warto! – pojedzie raczej popołudniowym pociągiem. Dzięki temu dotrze na miejsce wcześniej, a zjadą tam z pewnością również politycy, z którymi chce zawrzeć znajomość i przy okazji omówić pewne sprawy.

– Dobrze, synu! Skoro tak wolisz, choć przecież wiesz, że ja z chęcią dałabym ci moje konie – przystała matka, ale widać było, że ucieszyła ją odmowa Bálinta.

Tak to się stało, że podróżował teraz w kierunku Siklódu tym powolnym, pobrząkującym pojazdem.

Naprawdę przyjemnie było wlec się opustoszałą i jakby niekończącą się drogą. Patrzeć, jak za dorożką wzbija się kurz i towarzyszy jej niczym opuszczony welon. A potem z wahaniem odpływa w kierunku skoszonej łąki, gdzie krowy o sarnich oczach, spokojnie przeżuujące na potrawach, podnoszą smętny wzrok na podzwaniający zaprzęg.

Po maturze, którą zdał w Theresianum w 1895 roku, Bálint przez kilka lat studiował na uniwersytecie w Kolozsvárze, gdzie uzyskał dyplom *doctor*

iuris. Następnie znów przebywał daleko od domu, najpierw w Wiedniu, przygotowując się do egzaminu dopuszczającego do służby dyplomatycznej, później zaś – po roku ochotniczej służby wojskowej – przez dwa lata pracował za granicą jako attaché.

Właśnie wtedy zwolnił się mandat posła w okręgu Lélbánya. Zaproponowano mu ten urząd, z wyborów uzupełniających. Tak, to korzystniejsze rozwiązanie. Lepiej było zostawić służbę dyplomatyczną, gdzie całymi latami nie miał żadnego widoku na pensję, a za to sporo zobowiązań towarzyskich, których koszty ledwie udawało się pokryć z tego więcej niż skromnego dochodu, jaki przekazywała mu do dyspozycji matka.

Wiedział, że było jej ciężko. Naprawdę ciężko, bo choć majątek posiadała ogromny – szesnaście tysięcy mórg lasów iglastych u podnóża Vlegyászy, trzy tysiące mórg ziemi ornej w Dénestornyi, u zbiegu rzek Aranyos i Maros, ziemi urodzajnej niczym tamta obiecana w Kanaanie, ponadto pomniejsze dobra, rozsiane tu i tam, jedno też w Lélbányi, a prócz tego trzy czwarte jeziora – to jednak odłożonych pieniędzy nigdy nie miała, choć tak się starała, biedaczka, oszczędzać.

Lepiej było wrócić do domu, gdzie nawet przy skromnych wydatkach człowiek żyje sobie bez żadnych trosk, a dzięki zagranicznym studiom i obserwacjom może jeszcze wnieść jakiśżytek.

Kiedy więc w tym roku, czyli wiosną 1904, podczas urlopu, który spędzał u matki, odwiedził go w Dénestornyi nadżupan komitatu Maros-Torda i zapytał, czy zgodziłby się objąć mandat, który zwolnił się w Lélbányi, po krótkim namyśle przyjął tę propozycję. Postawił jedynie warunek, że będzie reprezentował program niezależny, niewiążący go z żadnym ugrupowaniem. Co prawda walki partyjne, które już od roku 1902 szalały w węgierskim parlamencie i zmiotły aż dwa gabinety, znał tylko w zarysach z prasowych doniesień, to jednak obserwując boje nawet z daleka, nie chciał się poddawać partyjnej dyscyplinie ani partyjnym namiętnościom.

Nadżupanowi było to obojętne. Chętnie zaaprobował status pozapartyjny, o ile poczynania Bálinta pozostaną w harmonii z ugodą z 1867 roku². Ani słowem nie zdradził, że dla niego ważne jest tylko to, żeby do parlamentu nie dostał się nikt z opozycji. I żeby mandatu nie objął ktoś obcy, jak ostatnio,

2 Uгода zawarta pomiędzy Austriakami a Węgrami, w wyniku czego powstały na zasadzie równouprawnienia Austro-Węgry – monarchia składająca się z dwóch odrębnych państw z osobnymi rządami i parlamentami, ale z jednym monarchą (cesarzem w Austrii i królem na Węgrzech) i niektórymi wspólnymi instytucjami. Na długie lata wyznaczyła ona również oś sporu politycznego na Węgrzech: pomiędzy zwolennikami ugody z 1867 r., i tym samym monarchii dualistycznej, a zwolennikami ideałów rewolucji 1848 r., czyli pełnej suwerenności Węgier.

kiedy ten okręg miejscowi liderzy sprzedawali w Budapeszcie zupełnie jak na licytacji. Bo Lélbánya to był skarłały, przegniły okręg bez znaczenia! A niegdyś miasto królewskie. To z tamtych czasów zachowało się tu prawo delegowania posła do parlamentu. Dzisiaj to nieistotne miasteczko, z trzystoma ledwie wyborcami, którzy – sprzymierzeni w dwie, trzy grupy – zawsze zdobywali sobie jakiegoś przepełnionego ambicjami kandydata ze stolicy, bogacza z workiem pieniędzy, po czym go – już jako posła – do samego końca kadencji doili, szantażowali i okropnie straszili, sobą nawzajem oraz tym wygadany zwolennikiem ideałów 1848 roku, którego wystawiali przeciw krezusowi wyłącznie z takiego właśnie powodu, choć bez żadnego przekonania. Zdarzyło się raz nawet, że w ostatniej chwili, kiedy owemu bogaczowi z workiem pieniędzy znudziło się płacenie, z zemsty wybrali – na pośmiewisko całego komitatu – tamtego drugiego, kandydującego na niby.

W wypadku kandydatury Abádyego wybór przeszedłby gładko. Kopalnia w miasteczku wszak już dawno przestała pracować, a okoliczne grunty to same liche ziemie, tak przesycone solą, że ludność utrzymywała się głównie z wyrabiania wikliny, wiklina zaś rosła nad jeziorem, a jezioro należało do Abádych. Przeciwno właścicielowi tego jeziora nawet najbardziej łąsy na pieniądże agitator niczego nie wskóra, jeśli by bowiem Abádyowie sprzedali swoje trzcinowiska jakiemuś przedsiębiorcy, to obywatele musieliby pójść na żebry.

Oczywiście, o tym wszystkim nadżupan ani słowem nie wspomniał młodzieńcowi. Przedstawiał mu same ogólne. Mówił pięknymi frazesami o poczuciu obowiązku, o patriotyzmie, o szczególnym powołaniu. Natomiast owdowiałej hrabinie Abády, z chytrą dobroduszością, wskazywał zachęcająco, o ileż to lepiej będzie, jeśli jej syn pozostanie w domu, w kraju, przy niej, i napomykał, że posłowi należy się też pensja, może nie tak wysoka, ale jednak, ponadto dodawał, że jej syna na pewno wybiorą jednogłośnie, i to bez żadnych kosztów. Dopiero po tym, jak te namowy odniosły sukces, nadżupan odwiedził Kristófa Ázbeja, który zarządzał dobrami hrabiny. Jemu także powiedział tylko tyle, że warto by posłać kogoś do Lélbányi, aby w miarę publicznie oszacował zbiory wikliny, jakich można się spodziewać na jesieni tego roku, i aby się rozeszła o tym wieść, zupełnie jakby planowano zmiany w dotychczasowym sposobie sprzedaży trzciny. Niech się przestraszą ci rozpuszczeni obywatele!

Tak też się stało, choć przecież sam Bálint Abády nie miał w owym czasie najmniejszego pojęcia, dlaczego to jego wyborcy tak gromko wiwatowali na jego cześć.

W ogóle małe miał pojęcie o brudnych powiązaniach w prawdziwym życiu. Może i taka była natura Bálinta, a może przyczyniło się do tego wychowanie. Długie osiem lat dzieciństwa przebywał wszak w Theresianum, w zamkniętej, ekskluzywnej szkole, wakacje zaś spędzał na wsi, w pałacu w Dénestorny. Również później tych kilka lat na uniwersytecie, kurs dyplomacji i kolejne przystanki w trakcie służby zagranicznej ukazały mu jedynie powierzchnię życia. Znajdował się zawsze jakby pod kloszem, w nieco sztucznej i wyizolowanej atmosferze, tam gdzie ludzkie zło, egoizm i zachłanność skrywają się pod maską, toteż potrzebowałby znacznie bardziej wyćwiczonego oka, żeby mógł je dostrzec.

Wygodnie rozparty w starym landzie, używanym w charakterze fiakra, Bálint nie myślał teraz o niczym innym, jak tylko o tym, że znów jest w domu, że pozostanie tu na stałe, i niepewnie zaczął snuć plany, jak mógłby wykorzystać w kraju wiedzę zdobytą za granicą. W Niemczech spotkał się bowiem z rozmaitymi formami spółdzielczości oraz z instytucją *homestead*, prawem chroniącym gospodarstwa chłopskie przed podziałem i zajęciem za długi. Wspominał już o tym swoim wyborcom. Nad takimi to kwestiami zastanawiał się w tej chwili, chociaż bez przesadnej determinacji, bo krajobraz był nazbyt urzekający, a słoneczna pogoda tak piękna, i jeszcze to sklepienie nieba... och, ono było aż nadto błękitne.

Rozmyślenia te przerwał mu ciężkawy, zamknięty pojazd, który powoli go dogonił. Był to duży wóz podróżny dawnego typu, ze stale i rytmicznie pobrzękującymi przeszklonymi oknami. Zaprzężony w dwa grubokościste gniadosze, mocno brzuchate konie, być może oba żrebne albo takie, co to niczego innego nie dostają prócz słomy. Na koźle tej staroświeckiej karety siedział stary stangret, miał na sobie silnie wypłowiały, ale szamerowany, sięgający stóp wiśniowy płaszcz, modny w latach sześćdziesiątych węgierski strój stangreta, na głowie – podniszczony okrągły kapelusz, a w nim marne już resztki kilku strusich piór. Stary siedział zgięty i bez przerwy kiwał głową, jakby nieustająco potakiwał koniom.

Niemniej jednak kareta wyprzedziła fiakier. Za szczelnie zamkniętymi oknami widać było z przodu młodą dziewczynę, służącą z wielkim koszem na kolanach, z tyłu zaś na poduszkach przycupnęła małeńka starowinka.

Bálint natychmiast ją poznał, uklonił się. Ale staruszka nie spoglądała w jego stronę, tylko mrużąc oczy, marszcząc powieki, patrzyła ponad głową służącej wprost przed siebie, gdzieś w dal, usta zaś miała ułożone w dzióbek, jakby bez przerwy gwizdała. Była to stara Sarmasághyowa, *tanti*³ Lizinka, jak

3 *Tanti* (węg. z niem.) – ciocia.

ją każdy nazywał, bo też ona, przez liczne rodzeństwo, niemal dla wszystkich, dla pełnych dwóch pokoleń, rzeczywiście była ciotką. Na jej widok powróciły wspomnienia. W Kolozsvárze to właśnie do niej jako pierwszej zaprowadziła go matka, gdy był małym chłopcem. Teraz także, wracając do tego myśłami, czuł tamten duszny zapach, który go uderzył, kiedy weszli do jej pokoju. Ciocia Lizinka siedziała w wielkim uszатыm fotelu, tyłem do wiecznie zamkniętego okna, od którego oddzielały ją jeszcze dwa przeszkłone parawany. Choć zawsze była zdrowa jak rydz, okropnie bała się przeziębienia. Chroniły ją warstwy szali, pledów i chust, na głowie miała czepek z czarnej koronki, pod którym na wysokości czoła doczepiona była dziergana poduszczecka, a i pod brodą tłoczył się gruby pęk wstążek. Przez to wszystko ledwie co było widać z jej wąskiej twarzy, jedynie czarne malutkie oczy miotające błyski, ostro zakończony orli nos i cienkie, bezbarwne usta, ku którym spływały gwiazdźcie, by połączyć się pośrodku, liczne zmarszczki. Chłopczyk trochę się przestraszył tej zgrzybiałej, przypominającej czarownicę staruszki, wyglądała bowiem tak, jakby pod mnóstwem chust w ogóle nie miała ciała, tylko tę wąską twarz, ten zakrzywiony nos. W taki sposób malec wyobrażał sobie Dorke Tóti z bajki dla dzieci. Jednakże matka pchnęła go naprzód, mówiąc: „Pocałuj ładnie w rękę ciocię Lizinkę!”, więc – z jakimś wstrętem – pocałował tę maleńką, pachnącą kamforą, wyschlą dłoń. Ale potem nastąpiło coś jeszcze gorszego. Ta mała dłoń o zakrzywionych palcach pochwyciła go nagle i z siłą, o którą nikt by jej nie podejrzewał, przyciągnęła tam, pomiędzy te chusty, i ciocia Lizinka wycisnęła mu na czole dużego mokrego całusa. A kiedy go już puściła, długo czuł pośrodku czoła, jak powolnie schnie mu ten zimny całus, jednakowoż jako dobrze wychowany chłopczyk nie śmiał go obetrzeć.

Wszystko to lotem błyskawicy ożyło mu w pamięci na widok staruszki. I wiele też innych rzeczy, opowiadanych później przez samą ciocię Lizinkę albo zasłyszanych od dziadka, Pétera Abádyego, który był jej kuzynem. Jedna z tych historii była szczególnie zabawna! – Bálint uśmiechnął się i teraz, gdy o tym pomyślał.

W czasie walk o niepodległość⁴ – któż by dał dzisiaj temu wiarę?! – Lizinka Sarmasághyowa, z domu Kendy, była młodą mężatką. A że bardzo była zakochana w swoim mężu, Mihályu Sarmasághym, który oczywiście był honwedem i oczywiście majorem w armii Görgeya (wszyscy byli wtedy majorami), to wszędzie jechała powozem w ślad za wojskiem.

4 Chodzi o walki o niepodległość Węgier (zwane też rewolucją), które miały miejsce w latach 1848–1849 i zakończyły się kapitulacją wojsk powstańczych pod Világos.

W ten sposób dotarła i pod Világos. Jak tylko usłyszała, a była entuzjastyczną patriotką, że Görgey złożył broń, popędziła do dworu Bohusów, wpadła tam do wielkiej sali pełnej węgierskich i rosyjskich oficerów, podbiegła prosto do Görgeya i tym swoim ostrym, piskliwym głosem rzuciła mu w twarz: „Panie naczelniku! Pan jest zdrajcą!”. Tak odważna była zawsze ta kobietka. A język też miała bardzo cięty. Jako że nie lubiła Kossutha, za każdym razem, gdy ktoś wymienił jego nazwisko, opowiadała swoje własne doświadczenie, jakim było pewne z nim spotkanie. Węgierskie wojsko było wówczas w Debrecenie. Tam rozeszła się wieść, że zbliżają się Rosjanie. Wszyscy popadli w duże przygnębienie. Wtedy to Kossuth wygłosił mowę na Zgromadzeniu Narodowym, żeby załamanych podnieść na duchu. Według cioci Lizinki powiedział tak: „Nie powinniśmy ulegać przestרחowi, nadchodzi wszak Mihály Sarmasághy z trzydziestoma tysiącami zaprawionych w walce bojowników!”. Powiedział tak być może, aby mocniej wybrzmiała ta odezwa. Niemniej jednak na te słowa wybuchły owacje, choć Sarmasághy siedział tam na balkonie samiuteńki i nie było z nim nikogo, jedynie ta maciupka żonka. Faktem jest natomiast, że jej energia równała się energii może i trzydziestu tysięcy bojowników.

Po rewolucji to ona uporządkowała wiele skomplikowanych spraw związanych z kopalniami, przez które nieomal zbankrutował jej teść. Sama się procesowała. Sama wywalczyła przywileje czynszowe, to ona wyratowała męża od niewoli w twierdzy Kufstein i wszystkiego się nauczyła, każdej ustawy, każdego artykułu ze zbioru *Compillata Constitutio* i *Approbata Constitutio*⁵, cesarskiego patentu, regulaminu pracy kopalni i *Verordnung*⁶, sama też pozywała i występowała w sądach od Vászárhelyu po Wiedeń.

Teraz, gdy kareta staruszki mijała Bálinta, wszyscyuteńko to do niego wróciło.

Ale na tym wspomnienia się nie zatrzymały. Przeskoczyły z cioci Lizinki na jego dziadka, którego w ciągu roku wielokrotnie odwiedzała.

Jakby i dzisiaj ich widział. Siedzą razem w ogrodzie, na werandzie z greckimi kolumnami. Lizinka, jak zawsze, dusząc się w chustach i szalach, zagłębiona w wielkim fotelu z poduchami, kolana ma podciągnięte, cała jest skulona w sobie, wygląda jak większy pies. Z kolei dziadek Péter Abády siedzi na sztywnym krześle trzcinowym z wysokim oparciem, naprzeciwko swojej młodszej kuzynki, spokojnie i wygodnie, ale niezmiennie wyprostowany.

5 Najważniejsze zbiory przepisów prawa cywilnego, powszechnie przyjętych i obowiązujących w Siedmiogrodzie, spisanych w języku węgierskim i opublikowanych pod koniec XVIII w.

6 *Verordnung* (niem.) – zarządzenie, rozporządzenie.

Oczywiście pali sobie w milczeniu papierosa, jak czyni przez cały dzień, używając tej piankowej fiki o typowo węgierskim kształcie. Staruszka opowiada jakąś plotkę, bo ona stale plotkowała, czego chłopczyk właściwie nie rozumie, co najwyżej tyle, że jego dziadek od czasu do czasu beszta starą kobietę żartobliwym tonem: „W aż tak wiele złego to ja jednak nie uwierzę, Lizinko, nawet i połowa tego byłaby przesadą!” – i śmieje się nieco ironicznie, podczas gdy stara Sarmasághyowa dalej skrzeczy, zarzeka się, że a i owszem, tak właśnie jest! Jest tak, jak mówi, ona to wie! Starszy pan się uśmiecha, acz kręcąc głową, bo co prawda mówi ta Lizinka rzeczy niewątpliwie złośliwe, to jednak potrafi opowiadać je wprost zabawnie.

Miało to miejsce w Dénestornyi. Stary Péter Abády również tam mieszkał; ale nie na górze w zamku, lecz poniżej, na zboczu wzgórza, w dworku po dziadku, a dworek ten wybudował pod koniec osiemnastego wieku pradziad Bálinta po mieczu. Ów zaś okazały pałac należał do matki Bálinta, która też była z Abádych. Poza tym należało do niej trzy czwarte majątku tego rodu. To dlatego ślub rodziców Bálinta był wydarzeniem rodzinnym o wielkim znaczeniu – dzięki małżeństwu ponownie scalono stary majątek ziemski, który wcześniej przez wiele pokoleń pozostawał podzielony najpierw na cztery, a potem wciąż jeszcze na dwie części. Tak więc ślub połączył w całość dobra w Dénestornyi oraz dawne rodowe posiadłości w Felső-Szamosu, w wysokich górach o wiecznie ośnieżonych szczytach.

Stary Péter przekazał wtedy swojemu synowi to, co posiadał. Zachował sobie jedynie dworek i przylegający doń ogród, i również później, gdy jego jedyny syn, Tamás, zmarł nagle, ani mu do głowy nie przyszło, żeby to wszystko zabrać z powrotem i na stare lata znów się kłopotać majątkiem, lecz pozostawił go w gestii swojej synowej, już wdowy, niech ona się tym zajmuje.

Ani nie przeprowadził się na górę do zamku, choć Tamásowa Abády i wówczas, i potem zawsze go o to prosiła, a nawet miała nieco żal, że teść nie chce jej posłuchać.

Starszy pan był mądrym człowiekiem. Bálint dopiero teraz, dojrzałym umysłem pojmował, jaki on był mądry również w tej kwestii. Przy pełnej dobroci, acz wiecznie niespokojnej naturze matki ledwie by się utrzymały ich poprawne relacje, gdyby zamieszkiwali pod jednym dachem.

Porządek pozostał taki, jaki się ukształtował za życia syna, nim ten umarł. Starszy pan w każdą środę jadał u nich, na górze w zamku, obiad, a z kolei w każdą niedzielę w południe oni mieli zaproszenie do dworku dziadka.

Bálint, jak tylko podrośł, odwiedzał dziadka innymi też razy. Niekiedy, a i owszem, umknąwszy przed guwernerami. Łatwo było tam uciec.

U podnóża wzniesienia olbrzymi park zamkowy oddzielony był od przynależącego do dworu ogrodu jedynie cmentarzem kalwińskim. Dwa murki, oba nie aż tak wysokie i niepozbawione zresztą dziur; to stawało się nawet zabawne, bo przy takiej okazji można było bawić się w Indian, po cichutku się skradać, sunąć bezszelestnie, zupełnie jak Skórzana Pończocha, i wdrapać na oszałamiająco wysoką basztę, tak bowiem przedstawiał się w wyobraźni chłopca, przepełnionej opowieściami Coopera, ledwie półtorametrowy miejscami mur przy cmentarzu.

Starszy pan dobrze widział, jaki czasem wybrudzony, zakurzony był wnuczek, kiedy się u niego zjawiał, lecz nigdy nie pytał, którą drogą chłopiec przyszedł, a ingerował dopiero wówczas, gdy zobaczył dziurę w jego ubraniu: żeby tylko nie było problemów, i nim go wypuścił z powrotem do domu, nakazywał kucharce szybko tę dziurę zaszyć, po czym posyłał lokaja, by otworzył tamtych dwoje zawsze zamkniętych drzwi, które z ogrodu przy dworku prowadziły na cmentarz, a stamtąd – do zamkowego ogrodu.

W młodszym wieku przyciągała Bálinta nie tyle chęć widzenia się z dziadkiem, ile to, że u niego za każdym razem dostawał coś dobrego do jedzenia, bez względu na porę przybycia. Świeży, całkiem czarny chleb żytni z grubą warstwą kwaśnej śmietany, chłodne bawole mleko lub słodkie ciasto z wczorajszego wypieku. Jakież to było pyszne! Przecież on wtedy zawsze, ale to zawsze był głodny, a na górze w zamku matka zabroniła dawać mu cokolwiek jeść pomiędzy posiłkami. W miarę jak dorastał, zaczęło go przyciągać również towarzystwo starszego pana. Potrafił on bowiem tak miło, z takim zrozumieniem rozmawiać z dzieckiem, wysłuchiwał jego opowieści o małych psotach, lekko się uśmiechając kącikiem ust przy fajce, a nikomu nic z tego nie zdradził.

Jeśli Bálint zachodził tam około południa, to przy dobrej pogodzie znajdował dziadka na tarasie, a jeśli było chłodno, to w bibliotece. Starszy pan zawsze wtedy czytał. Nie miał za złe, że wnuk mu przeszkodził. Najczęściej czytał dzieła naukowe. Prenumerował też wiele czasopism, i rzeczywiście to było wspaniałe, jak bardzo nadążał za postępem umysłowym tamtych czasów, za badaniami w tym klasycznym okresie nowoczesnych odkryć. Chętnie i ładnie opowiadał o nich wnukowi, podsumowując, w sposób przystępny i zrozumiały, najnowsze zagadnienia, którymi się właśnie zajmował. Miał jednakowo dobre rozeznanie w przeróżnych tematach. W jego opowieściach dużą rolę odgrywały podróże odkrywców po Afryce i Azji Środkowej, ale chyba w pierwszym rzędzie – postęp techniczny ostatnich lat. W związku z tym niekiedy poruszał kwestię równań matematycznych, objaśniając je tak jasno i z taką prostotą, że dorastający wnuk z łatwością mógł je pojąć,

a później, gdy w Theresianum Bálint dotarł do algebry, zdawała mu się niemal znana. Być może to stąd, z tej odległej przeszłości dzieciństwa, wywodziło się zainteresowanie, które i potem u niego się utrzymało.

Jeśli chłopiec odwiedzał dziadka rankiem, znajdował go zazwyczaj w ogrodzie. Własnoręcznie bowiem pielęgnował on róże. Sam też je szczepił, oczkował, a wszystko to czynił z wielką miłością. I rzeczywiście wyrastały piękne, znacznie ładniejsze, bujniejsze niż te, którymi zajmował się ogrodnik zamkowy. Bálint, sięgając teraz pamięcią wstecz, widział go w wyobraźni jak żywego, tam, pośród kwiatów! W długim fartuchu z surowego płótna. W ogromnym chłopskim słomianym kapeluszu na koronie wciąż jeszcze gęstych, kręconych białych włosów. Jak młodzieńczą miał twarz pod tym kapeluszem, gdy oświeślały ją żółte refleksy słonecznych promieni. Jakie ładne rysy twarzy. Wąski, cienki nos. Zielonoszare oczy, które wydawały się jeszcze jaśniejsze, gdyż mimo zaawansowanego wieku dziadka brwi pozostawały czarne. Ponad subtelnym łukiem warg ostro zakończony i podwinięty wąsik, też niemal czarny, być może za sprawą środka do pielęgnacji, którego zapach, przywołany teraz wspomnieniem, Bálint znów jakby poczuł, podobnie jak czuł go zawsze, gdy zgodnie ze zwyczajem starszy pan pochylał się ku niemu i nadstawiał policzek do ucałowania.

Twarz miał dziadek tak gładką! Przywiązywał dużą wagę do tego, aby stale być zadbanym i czystym. Mawiał żartobliwie: „Człowiek młody może być i brudny, ale starzec, nawet wyczyszczony, jest zawsze odpychający!”. I codziennie sam się golił precyzyjnymi angielskimi brzytwami, każdego dnia inną; trzymał je wszystkie, ponumerowane, w długim futerale z zielonego safianu.

W niedzielne południe, jeśli Bálint przyszedł wcześniej, przed porą obiadu, czasem zastawał na werandzie dwóch, trzech chłopskich gospodarzy, którzy zdjawszy kapelusze, stali przed starszym panem i przedstawiali mu swoje zawile sprawy. Jeśli pojawiał się w takim właśnie momencie, dziadek dawał mu znak ręką, że może zostać, lecz musi sięść z boku na kanapie. Przybywali tu ludzie nie tylko z Dénestorny, ale i z innych okolicznych wiosek. Rumuni, Węgrzy jednak, niekiedy także ci, którzy mieszkali w wysokich górach. Od dawien dawna znano go jako człowieka bardzo sprawiedliwego. Tak więc nim zwróciliby się do adwokata, często przychodzili właśnie do niego, żeby ich rozstrząsał. Stary Péter Abády zawsze był do ich dyspozycji. Siedział nieruchomo na twardym trzciniowym krześle z podłokietnikami, nogi miał skrzyżowane, a pantalony podchodziły mu nieco ku górze na staromodnych butach z wysoką, miękką cholewką. Wiecznie z fajeczką z pianki morskiej w ustach, w milczeniu wysłuchiwał długiej opowieści. Tylko od

czasu do czasu zadawał jakieś pytanie albo jakimś słowem przywoływał do porządku tego, który, jak uznał, miał zamiar unieść się gniewem na drugiego. Ale niewiele tu było potrzeba, jako że ludzie zwykle zachowywali się bardzo rozsądnie. A potem, kiedy już każdy powiedział, co miał do powiedzenia, starszy pan udzielał swojej rady.

Péter Abády jednakowo płynnie mówił po węgiersku i, jeśli zaszła taka potrzeba, po rumuńsku. Skarżące się strony najczęściej godziły się z jego osądem. Na koniec, a i niezależnie od tego, na czym stanęło, interesanci całowali go w rękę i odchodzili ładnie gęsiego. Jego, Bálinta, też całowali w rękę, przed czym on próbował się bronić. Ale starszy pan zwracał mu uwagę po francusku, żeby pozwolił, bo jeśli tego nie zrobi, ludzie wezmą to za niechęć i się obrażą.

Dwór Abádych często odwiedzali również inni goście. Młodszy przybywali złożyć uszanowanie, przedstawić się lub poprosić o wsparcie, bo choć Péter Abády coraz rzadziej ruszał się z domu, jego wpływy pozostawały ogromne, sięgając daleko i rozprzestrzeniając się w różnych kierunkach, nie tylko dlatego, że już od dwóch dekad był superintendentem Kościoła kalwińskiego, członkiem Izby Panów i chorążym⁷, lecz i dlatego, że znany był jako osoba wspierająca jedynie to, co sprawiedliwe; wiadome też było o nim, iż jego głos jest brany pod uwagę nawet na dworze Franciszka Józefa.

Starszy składał mu uszanowanie ze starej sympatii. Oni również dość licznie. Należeli do grupy dawnych prominentów komitackich, z czasów gdy przed rokiem 1848 Péter Abády był nadżupanem w komitacie Alsó-Fehér, bądź byli niegdysiejszymi honwedenami, których w epoce Bacha⁸ wyratował przed więzieniem.

Regularnych gości było dwoje: ciocia Lizinka, która co roku spędzała tam dwa tygodnie, oraz Mihály Gál – alias Minya Gál – stary aktor, który pozostawał trzy dni, nigdy ani dłużej, ani krócej.

Tego ostatniego Bálint bardzo lubił. Jeśli wiedział, że u dziadka jest Gál, przekradał się przez ogrodzenie nawet kilka razy dziennie i długo przysлуuchiwał się rozmowie, żartom dwóch starców, dawnym teatralnym anegdotom Gála, które opowiadały o Déryowej, o Celesztynie⁹, aczkolwiek co do większości nazwisk, to nie wiedział, kim są ludzie, którzy je noszą.

7 Chorąży (węg. *zászlósúr*) – w XX w. osoba sprawująca ważną funkcję w państwie bądź na dworze.

8 Alexander von Bach (1813–1893) – austriacki polityk, minister spraw wewnętrznych w latach 1850–1859.

9 Mowa tu o słynnych węgierskich aktorkach z początków teatru na Węgrzech w XIX w. W swoich pamiętnikach Déryné zarzucała starszej nieco koleżance, występującej pod pseudonimem Celesztin, że ta prowadzi się niemoralnie.

Stary Minya zawsze przychodził pieszo i tak też odchodził. Nigdy nie przyjmował oferowanego powozu. Zdania nie zmieniał od czasu, gdy występował w wędrowniej trupie. I z jakiegoś dziwnego, butnego purytanizmu. Z jakiegoś uporu, „bo nie”, albo dlatego, że wędrując po szosach, oczami wyobraźni widział siebie na powrót w latach młodzieńczej włóczęgi. Był kolegą szkolnym Pétera Abádyego. Razem uczyli się w gimnazjum w Vásárhelyu w latach dwudziestych.

Wtedy to zawarli, jako uczniowie mieszkający w internacie, przyjaźń, która niezmiennie łączyła ich przez siedemdziesiąt lat. Byli ze sobą na ty. Ale w obecności innych – choćby i chłopca – Minya Gál unikał zwracania się w sposób tak bezpośredni.

Bálint uświadomił sobie teraz, że Gál pochodził właśnie z tych okolic. Ostatni raz widział go na pogrzebie dziadka w 1892 roku – to już dwanaście lat – wówczas też przyszedł on z Vásárhelyu, gdzie miał mały domek, tak powiedział. „Ejże, trzeba by się dowiedzieć, czy jeszcze żyje, a jeśli żyje, to trzeba by odwiedzić przyjaciela dziadka. Choć to mało prawdopodobne, żeby jeszcze żył, bo bez pięciu, sześciu lat dobiegałby teraz setki”, pomyślał Bálint. Mimo wszystko postanowił, że w drodze powrotnej z Siklódu wytropi, co się stało ze starym aktorem, który należał do najbardziej żywych wspomnień z jego dzieciństwa.

*

O takich to sprawach rozmyślał młody Abády. A tym wspomnieniom akompaniowało monotonne pobrzękiwanie dzwoneczków przyczepionych do końskiej uprzęży, jakby dochodziło go echo dalekiej przeszłości.

Oprzytomniał na odgłos szybkiego tętentu koni.

Minęły go w pośpiechu, jeden za drugim, dwa powozy zaprzężone w węgierskie kłusaki¹⁰.

Pierwszym powoził Péter Kendy, ten, którego krótko i powszechnie zwano Pityu, na tylnym zaś siedzeniu miejsce zajmował jeden z braci Alvinczych. Obok nich dwie spośród hrabianek Laczók, Anna i Idácska. Późno rozpoznał obie kobiety, dopiero jak już przejechały. „Oczywiście, przecież to już dorosłe panny!” – pomyślał. Kiedy widział je ostatnim razem w Kolozsvárze, były to jeszcze podlotki z warkoczykami. Jak ten czas płynie. Pewnie śpieszą się do domu po wyścigach, w końcu są córkami

10 Kłusaki (węg. *jukker-ló*) – wyhodowana na Węgrzech, rzadko występująca w hodowlach zagranicznych rasa koni powstała ze skrzyżowania koni pełnej krwi angielskiej z lokalnymi klaczami, nadająca się zarówno pod siodło, jak i do zaprzęgów. Z wyglądu konie te nie prezentują się idealnie, cechują się jednak dużą wytrzymałością.

gospodarzy Vársiklódu, wypada więc, żeby pojawiły się u siebie, zanim przybędzie tłum gości.

Z tamtego towarzystwa nikt nawet nie spojrzał w jego stronę; kto się przejmuje pasażerem podróżującym najętym fiakrem?

Na koźle w drugim powozie siedział Farkas, starszy z braci Alvinczych, przy nim trzecia panna Laczók, Liszka, a gdy pojazd pośpiesznie przemykał obok Bálinta, ten rozpoznał jeszcze László Gyerőffyego, swojego kuzyna, na tylnym siedzeniu koło stangreta w liberii.

Zawołał do niego, a tamten coś mu odpowiedział i dodatkowo pomachał, ale i ten pojazd popędził dalej. Najwyraźniej oba brały udział w wyścigu, tym wścieklej więc jeden pędził za drugim, bo przecież trzeba się przed pannami wykazać animuszem – wyprzedzić! – utrzymać się na czelu! – nie przepuścić! – i dlatego powożący panowie przykładali się do wyścigu tak, jakby szła tu walka na śmierć i życie.

Bálint bardzo się ucieszył, że i László będzie w Siklódzie. Ach, jak dobrze znów się z nim spotkać! László był jego jedynym przyjacielem z czasów dzieciństwa. Theresianum też skończyli w tym samym roku. I także przez pierwsze dwa lata na uniwersytecie w Kolozsvárze, nim Gyerőffy wyjechał do Pesztu, byli nierozłączni. Od tamtej pory rzadziej się widywali. Kiedy niekiedy na Węgrzech u którejś z ciotek László Gyerőffyego, przy okazji polowania na kuropatwy bądź bażanty i kilka razy przypadkiem również w Siedmiogrodzie.

Jednakże nie spowodowało to uszczerbku na ich przyjaźni, bo przecież sympatia sięgająca wstecz do czasów dorostania jest najmocniejszym spoiwem.

I to ich połączyło ze sobą znacznie ściślej niż pokrewieństwo, dość bliskie zresztą, jako że babka László Gyerőffyego była starszą siostrą starego Pétera Abádyego. Połączyło ich jeszcze wiele innych głębszych, nieuświadomionych, ale tym silniejszych więzów. Obok licznych podobnych cech – również zbieżność losów w dzieciństwie. László też był sierotą, nawet w większym stopniu niż Bálint, któremu pozostała matka i który miał prawdziwy dom, gdzie powracał każdego lata, by ogrzać się w ciepłej atmosferze. László natomiast stracił rodziców we wczesnym dzieciństwie. Oboje naraz. Była to tragiczna historia, o której niechętnie rozmawiano w rodzinie. Jego matka, jak mówiono, uchodziła za kobietę nie tylko bardzo ładną, lecz i bardzo utalentowaną, o artystycznej duszy. Pięknie rzeźbiła i malowała. László miał zaledwie trzy latka, kiedy jego matka z kimś uciekła. Krótco potem jego ojca znaleziono martwego w lesie. Zabiła go własna strzelba. Krewni twierdzili: nieszczęśliwy wypadek. Ta ponura, znana, acz pozostawiająca wątpliwości historia przydała

posępnego tła dziecięcym latom opuszczonego małego László. Nigdy potem nie miał prawdziwego domu. Najpierw trafił do babki, a po jej śmierci, która nastąpiła po kilku latach, już na stałe zamieszkał w szkole z internatem, skąd każdego lata zabierały go ciotki, i tak do uzyskania pełnoletniości zawsze był gdzieś jedynie gościem, czasami w Siedmiogrodzie, ale najczęściej w Kraju Zadunajskim, u sióstr ojca – na przemian to u jednej, to u drugiej – które wyszły za mąż w Budapeszcie, starsza – za księcia Kollonicha, młodsza – za hrabiego Antala Szent-Györgyiego.

Bálint, wychylony, spoglądał na pędzący powóz. Za wysoko wzbity ścianą kurzu już tylko mgliście widział znikającego László, który aż do zakrętu ciągle machał mu w odpowiedzi. I gdy tak się wychylał, sam też cały czas śląc tamtemu pozdrowienie ręką, huknął obok niego kolejny powóz.

Bryczka ze składaną budą.

W pojeździe siedziało dwóch mężczyzn.

Po prawej stary Sándor Kendy.

Ten Kendy w Siedmiogrodzie miał aż dwa przydomki. Gdy rozmawiano z nim twarzą w twarz, zwracano się do niego Vajda¹¹, czyniąc aluzję do jednego z jego słynnych przodków, a to dlatego, że i on sam, podobnie jak ów przodek, był wysoce upartym i krnąbrnym agresywnym wielkim panem. Z tego właśnie powodu owego przodka, po którym otrzymał przydomek, koniec końców dekapitowano. Za plecami jednak nazywano go Krzywusem, bez żadnej złośliwości, tylko z tej przyczyny, że gdy mówił lub – co rzadko się zdarzało – lekko się uśmiechnął, wtedy wykrzywił się mu nieco kącik ust z jednej strony. Wzięło się to od dawnego cięcia szablą – szramę tę ledwie zakrywały bujne wąsy, co dodatkowo podkreślało jego twardy, zdecydowany, ogromnie męski charakter.

Większość Kendych miała jakieś przezwisko, często z nutą szyderstwa. Potrzebne było ono do ich rozróżnienia, bo Kendych było naprawdę sporo. Oprócz Krzywusa żyło jeszcze dwóch Sándorów, z których na jednego wołano Ruchliwiec, a to z powodu jego niespokojnej natury, drugiego zaś rówieśnicy ochrzcili Zindi, ponieważ odkryli, że jest niezwykle podobny do pewnego wodza rabusiów z zamierzchłych czasów, który nazywał się Albano Zindi.

Obok Vajdy siedział w przejeżdżającej bryczce Ambrus Kendy.

Ten, o ponad dziesięć lat młodszy od Krzywusa, był jego dalekim krewnym, niemal tylko z nazwiska, ale i tak bardzo go przypominał. Dotyczyło to wszystkich Kendych. Owo płodne plemię odznaczało się bowiem

¹¹ Vajda (węg.) – wojewoda; król cygański.

tak dużą siłą dziedziczenia, że jego przedstawicieli dało się rozpoznać na pierwszy rzut oka, choć poszczególne gałęzie rodu oddzieliły się od siebie przed wieloma już pokoleniami. Wszyscy byli ciemnowłosi. Wszyscy mieli jasne oczy, prawie krzaczaste brwi i byli słusznego wzrostu. I każdy miał taki zaczepny, potwierdzający skorość do bitki nos, jak dziób ptaka. Ostro zakończony orli nos jak u starego Krzywusa, sokoli jak ten u Ambrusa, a u pozostałych – od początku do końca, przez wszystkie gatunki ptaków drapieżnych, w każdej odmianie: od sępa do pustułki i dzierzby gąsiora. O cechującej Kendych sile dziedziczenia świadczyło i to, że ponieważ byli liczni, a przez to rodzinny majątek coraz bardziej się dzielił, wielu już i z poprzedniej grupy wiekowej zawarło tak zwane dobre małżeństwo, w którego przypadku wiano było, a i owszem, ładniejsze od panny młodej. A mimo wszystko! Bez względu na to, z jak cherlawą bądź brzydką kobietą się żenili, kulawą czy garbatą, otyłą czy taką jak patyk, z nosem perkatym czy kartoflanym, z każdej jednej udawało się im wyhodować własny trwały gatunek, ten ostry profil, brązowe włosy, jasne oczy – samych przystojnych chłopaków, same ładne dziewczęta.

Jakby temu silnemu plemieniu dobrze zrobiło częste przycinanie przed wiekami, kiedy to tyłu Kendych ścięto na szafocie. Tym bardziej rozrastało się ono nowymi pędami.

Stary Sándor i młodszy Ambrus byli do siebie podobni nie tylko z rysów twarzy, ale i ze sposobu bycia. Obaj wyrażali się nader grubiańsko. Zaprzeczenie, złość, ba, często i kontrowanie załatwiali jedynie takim czy innym wulgaryzmem. Właśnie Krzywus rozpoczął to w Siedmiogrodzie, gdzie ani jego pokolenie, ani poprzednie generacje nigdy dotąd nie wypowiadały choćby jednego brzydkiego słowa nawet w dzikim gniewie. Styl obu Kendych był jednakowy, lecz metoda odmienna: Vajda mawiał takie rzeczy tonem rozkazującym, ze straszliwie surowym wyrazem twarzy, i ponieważ zawsze tak ostro ciskał ten czy ów krótki plugawy rzeczownik, naturalnie nie miał naśladowcy. Prócz jednego, a był nim akurat też Kendy – Ambrus. Tylko że ten naśladował jedynie „co”, natomiast „jak” – to już z wielkim talentem przerobił na własną korzyść. Z dobrotliwą wesołością wyrzucał z siebie najstraszniejsze słowa, nie tak napastliwym tonem jak Krzywus, lecz w sposób naturalny i z humorem, tak po chłopsku, jakby nie potrafił inaczej, jakby czynił to z powodu swojej nieokrzesanej szczerości. Jakby całą jaźnią przekazywał: „Co prawda jestem grubiański, co prawda mówię brzydkie rzeczy, ale przecież taki się urodziłem, taki szczerzy, bez ogłady, mówiący wprost, prawdziwy mężczyzna”, i to wrażenie potwierdzane było dobrotliwym spojrzeniem jego jasnoniebieskich oczu,